

ŚWIAT DZIECI

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

ZOFIA KWIECIŃSKA

JESIENNA WYPRAWA

Namówił Olek.

— U mojego dziadka na wsi jest pasieka. Chcesz pojedziemy tam w niedzielę.

Stefanowi nie trzeba tego było powtarzać dwa razy.

— Co mówisz? Pasieka? I miód? No to świetnie! Jedziemy!

I pojechali w niedzielę skoro świt.

— Pamiętaj — pouczał kolegę Olek — czwarta stacja to będzie Różana Wólka. Tam wysiadamy.

Liczyli stację zawzięcie i okazało się, że czwarta stacja to wcale nie była Różana Wólka, tylko Załęczyn.

— Pewno pomyliłem się. To będzie piąta.

Nim jednak do piątej dojechali, przyszedł konduktor.

— Bilety proszę do sprawdzenia.

— A wy gdzie jedziecie? — zwrócił się do chłopców.

— Do Różanej Wólki. O, na biletach napisane.

— Nie w ten pociąg wsiedliście. Jedźcie w zupełnie innym kierunku.

Chłopcy zbaranieli. Nie przyszło im do głowy, że na dworcu pociągi odchodzą w rozmaitych kierunkach. Siedli w pierwszy, który był.

— No i co teraz robicie?

— A no cóż? Musicie wystąpić na najbliższym przystanku i tam już dowiecie się. Wtedy będzie siedzi pociąg do tej waszej Różanej Wólki.

Nie było innej rady. Wsiedli na małym pustym przystanku. Jedyne człowiek, którego spotkali to był dyżurny i ten im powiedział, że pociąg odejdzie dopiero pod wieczór. Chłopcy spojrzeli na siebie.

— A ile kilometrów będzie?

Dyżurny nie zrozumiał.

— Jakich kilometrów?

— No do Różanej Wólki?

— Ho, ho! To trzeba przecież wracać do miasta 20 km, a stamtąd jeszcze... A czy ja wiem ile, że trzydzieści.

Wyszli na drogę błotnistą i pełną wyboi.

Nie ma co — zdecydował Olek — Trzeba iść. Do wieczora czekać to zadługo.

Zaczął padać drobny jesienny deszcz, poła zasunęły się mgłą, z przydrożnych drzew spadały zwiędłe liście i długo wałęsały się razem z wiatrem w powietrzu zanim wreszcie zatrzymały się w jakiejś kałuży. Na horyzoncie ciemniał las i w tym kierunku chłopcy poszli. Zimno, mokro i najważniejsze — jeść się chce. Chleb, który wzięli z sobą na drogę zjedli nieprzeżownie w wagonie. Wymyślał ich jakiś człowiek. Przestraszyli się. Od głowy do nóg okutany był workiem i wyglądał jak wielki, poruszający się pień drzewa.

— A gdzie to tak idziecie? — zagaśnił ich.

Odpowiedzieli.

— O, to bardzo daleko — zdziwił się tamten — na wieczór może będziecie. Kawalek pójdziemy razem, bo ja też w tamtą stronę, tylko bliżej. O, tu za lasem moja chata. Nazywam się Matus.

Nowy znajomy szedł drobnymi kroczkami i pokaszliwał od czasu do czasu. Był to stary chłop wysoki i kościsty. Nudziło mu się widać, bo gadał bez przestanku.

— Przemokniecie, biedaki. Do nitki przemokniecie. A cóż to pieniądze na bilet nie macie, żeście się na piechotę wybrai? A skądście wy? — zanępokoił się nagle — Bo przecież nie z naszej wsi. Nigdy nie was tu nie widział. A możecie złodzieje? He?



Stefan był zmartwiony szczykał zębami i nie nie odpowiadał. Miał już dość tej całej wyprawy. No i co? Niech ten stary odprowadzi go na milicję. Przecież i tak będą wiedzieli, że nie przyjechał tu kraść a przynajmniej do domu przedzej odwożą. Olek jednak bronił się zaciekłe.

— Co znowu? Do dziadka jedziemy. Nie do tego pociągu wsiedliśmy.

— Ejże? — nie dowierzał starszek — A jakże się twój dziadek nazywa i gdzie mieszka? Ja w Różanej Wólce wszystkich znam.

Musiał mu Olek wszystko dokładnie opowiedzieć. Jak wygląda dziadka dom, gdzie stoi, jak się nazywa dziadek, co robi i jak

wygląda. Dopiero wtedy uwierzył.

— Ale przecież tak iść nie można — gderał — Gdzież to w taki deszcz tyli świat iść? Zajdziecie do mnie to wam dam jakieś worki, czy co.

Weszli do lasu i tu było trochę ciepło. Przynajmniej deszcz tak nie padał. Pachniało pleśnią, mchem i wilgocią. Nogi grzeły jak w pierzynie w grubej podściółce liści. Trzasnęła gałązka i w powietrzu nad głowami mignęła ruda wiewiórka. Matus przestał gderać, twarz mu się rozjaśniła.

— Widzicie ją! Jakie to sprytno stworzenie. O tam, siedzi. Łapkę podniosła w górę. Orzeszek je. Dla niej teraz najlepsza pora. Naje się przynajmniej porządnie, upasie się na zimę. A chcecie orzechów? Tutaj jest ich dużo. Pokażę wam gdzie.

Trudno było oprzeć się takiej pokusie. Mimo chłodu i zmęczenia, chłopcy poszli za swoim przewodnikiem. Orzechów wcale nie było dużo i przeważnie były puste, ale i tak zbieranie ich, to była przyjemność nie lada. Gdzie to w mieście myśleć o zbieraniu orzechów, chociażby nawet pustych.

Wyszło zza chmur blade słońce. Stało już wysoko. Widocznie było południe. A stary wcale nie spieszył się do domu. Zatrzymał się, ogładał drzewa, szukał czegoś na ziemi.

— Tu lisy bywają. Tylko teraz śladów ich znaleźć nie można. Ale niech tylko śnieg spadnie zobaczycie. Wyjść rano, a tu na śniegu ślady, jak gwiazdeczki, i w tę stronę i w tamtą — wszędzie... Tam dają się i borsuki. Ale borsuk w zimie śpi. Zasyje się w swoją norę i śpi. A lis nie. I zając też nie śpi. Futerko mu tylko wyrosnie puszyste i tak całą zimę przeskacze. Nic sobie z mrozu nie robi... No, a tu odpoczniemy. Co? To akurat połowa drogi.

Usiadł na pieńku i zapał fajeczkę. Chłopcy tymczasem zgarniali w jedno miejsce suche liście. To tak przyjemnie jak szeleszczą. I nawet dziwne. Deszcz przecież padał a liście wcale nie są takie strasznie mokre. Gdy uzbierali już wielki kopiec, zeszli się wien. Ależ tam ciepło było! Jak pod kołdrą. Aż nie chciało się wychodzić.

— Grzejecie się co? — powiedział starszek. — Widzicie jaka to natura mądra. Grzeją te liście ziemię w zimie, nie dają korzonkom zmarznąć. Pod nimi każde zieleni sobie spokojnie aż do wiosny.

Niespodziewanie lunął znowu deszcz i trzeba było iść w dalszą drogę. Teraz szli już pospiesznie, przez wąskie leśne ścieżyny. Z nagich gałęzi padały grube krople i Oikowi zdawało się, że te wszystkie wpadają mu za kołnierz. Nawet stary pod swoim workiem przemarzł trochę i wstrząsał się od czasu do czasu powtarzając:

(Dalszy ciąg na str. 4-ej)

ALEKSANDER JURKOWSKI

MIKOŁAJ KOPERNIK

Pani od polskiego zachorowała i miał ją zastępować pan, który w piątej klasie uczy historii. Takie lekcje zawsze są przyjemne. Bo taki „cudzy“ pan nie pyta przecież, dwóch nie stawia, co najwyżej narzeczy, ale tego też można uniknąć.

Pana z piątej klasy dzieci nie znały. Nie dawno uczył i jeszcze nigdy nie miał zastępstwa. W klasie więc było wyjątkowo cicho i wszyscy z zaciekawieniem czekali co też dzisiaj będzie.

A pan usiadł na katedrze, popatrzył na dzieci, uśmiechnął się i powiedział:

— Będziemy mieć dzisiaj lekcję inną niż zwykle. Wybierzcie sobie sami temat.

Jużby lepiej sam zaczął coś opowiadać. Jak tu wybrać? — mruknął Kazik.

— Niech pan opowie bajkę — pisnęła Marysia, która zawsze pierwsza się wyrwała, ale rzadko coś mądrego mówiła.

W klasie nawet powstał szum, że to przecież ma być lekcja, nie opowiadanie bajek. Pan się może rozgniewać i co wtedy. A jak zechce pytać, to mu kto zabroni?

Ale pan się nie rozgniewał.

— Dobrze — rzekł — opowiem wam bajkę-prawdę. Tylko musicie być bardzo cicho i uważać, bo to wszystko, co wam opowiem, działa się naprawdę.

I po chwili namysłu zaczął:

„Ciemna noc zalegała nad światem. Dawno już zamilkły ostatnie odgłosy dnia i nawet psy, zmęczone długim ujadaniem, przycichły. Pogasty lucywa, co z wieczora oświetlały małe, wąskie okienka i mieszczanie śpią snem spokojnym. W bladym świetle gwiazd i księżyca śpi miasteczko Frombork, stolica biskupów warmijskich. Nie śpią tylko stróże nocni i głośnym nawoływaniem dają znać, że są na posterunku i czuwają nad spokojem mieszkańców.

I nie śpi jeszcze jeden człowiek. Przez otwarte okno zamku kapituły warmijskiej uparcie patrzy w wyiskrzone niebo, skrzypiącym gęsim piórem zapisuje jakieś cyfry, liczy je, przelicza i sprawdza na wielkiej mapie nieba, co leży przed nim rozłożona na stole.

Chyba się światło lucywa i dawno już kury północ przepiały. Czegóż szuka ten człowiek na czarnym niebie? Co go tam interesuje? Czy przyszłość chce wyczytać? Czy znaleźć przyczynę jakiejś choroby? Bo działa się to w końcu XV wieku, gdy wielu ludzi tak jak on patrzyło w gwiazdy i wróżyło z ich biegu. Na-

zywano ich astrologami i wierzono im święcie. Trzeba było ważne sprawy rozstrzygnąć — szli do astrologa — co gwiazdy mówią. Urodziło się dziecko — astrolog z gwiazd przepowiadał przyszłe jego losy. Choroba kogoś dotknęła — z gwiazd czytali jak ją leczyć.

Astrologowie, choć wiele nieprawdopodobnych rzeczy opowiadali, znał dobrze niebo i układ ciał niebieskich. U astrologa też pierwsze nauki pobierał największy polski uczyony, Mikołaj Kopernik.

Urodził się w 1473 roku w Toruniu i tam lekarz biskupi i astrolog Mikołaj z Kwidzyna zapoznał go z pierwszymi wiadomościami o gwiazdach.

Nauka ta podobała się młodemu Kopernikowi. Nawet więcej niż podobała się — zainteresowała go tak, że jej całe życie poświęcił. Po ukończeniu szkoły wyjechał do Krakowa do Akademii Jagiellońskiej. Ale i tego było mu mało. Wkrótce wyjeżdża za granicę do Włoch, gdzie w tym czasie były najlepsze uniwersytety i uczy się w dalszym ciągu.

A były to czasy, kiedy nauki rozwijały się nadzwyczaj szybko. Dokonywano odkryć, które z gruntu zmieniły ludzkie pojęcia o świecie. Przekonano się, że nie wszystko jest zupełnie takie, jak nam się wydaje. Ziemia np. wydaje się zupełnie płaska a tymczasem okazało się, że można ją objechać naokoło. Myślano, że Europa, Azja i Afryka, bo już cały świat, a oto Kolumb odkrył nowy nieznaną ląd — Amerykę.

I Kopernik badając gwiazdy doszedł do wniosku, że wzrok może nas mylić. Wyraźnie wydaje nam się, że ziemia stoi, a słońce wędruje po niebie. Ale czyż, nie mamy wrażenia, gdy znajdujemy się na okręcie, że to my stoimy a brzegi uciekają? I ta myśl nie opuszczała już uczonego przez całe życie. Badał, uczył się — liczył. Nie miał jeszcze wtedy teleskopu, ani nawet lunety. Te wynaleziono znacznie później. Miał tylko globus, ekerkę i cyrkle i ofbrzymiał chęć poznania prawdy. I wreszcie doszedł do tego, że mimo wszelkich pozorów nie słońce krąży naokoło ziemi lecz na odwrót.

Wyobraźcie sobie, co się działo gdy Kopernik ogłosił tę prawdę? Nikt mu nie chciał uwierzyć. Wyśmiewano go i nazywano wariatem albo oszustem

— Jakżeż to może być — mówili ludzie — żeby ziemia się kręciła? Wszystkie wody z rzek i mórz powylewałyby się z my pospadałybyśmy.

— Nawet małe dziecko widzi, że słońce wstaje rano i zachodzi wieczorem.

— Chce zdobyć sławę — mówili inni. — Plecie głupstwa i myśli, że mu uwierzą.

— Jakto, więc nie ma nic stałego? Więc nawet ziemia, ta ziemia, na której się wszystko opiera, również nie stoi mocno na swoich podstawach, lecz leci gdzieś w przestworza? Znaczy, że każdej chwili może rozbić się o jakąś inną gwiazdę...

Tak mówili ludzie, którzy nie rozumieli i nie byli w stanie zrozumieć nauki Kopernika. Nie mogło im pomieścić się w głowach, że kula ziemską jest w ruchu, mimo że my tego nie odczuwamy. A nie mogąc obalić jego nauki, wśmiewali go. Znalazł się nawet jakiś wesolek, aktor

wędrowny, który zrobiwszy sobie kulę, toczył ją przed sobą i krzyczał że jest Kopernikiem i porusza ziemię.

Nie dał się jednak uczyony ani przestraszyć, ani zniechęcić. Pracował w dalszym ciągu i pisał swoje wielkie dzieło „O obrotach ciał niebieskich“.

Mimo jednak, że był otoczony już wielką sławą uczonego, z którym liczył się cały świat naukowy, nie doczekał się za życia wydania drukiem swojej książki. Dopiero w 1543 roku, w tym roku, w którym w zamku fromborskim zmarł steranny życiem i pracą Kopernik, w dalekiej Norymberdze doczekała się wreszcie wydania książkowego praca całego jego życia „O obrotach ciał niebieskich“.

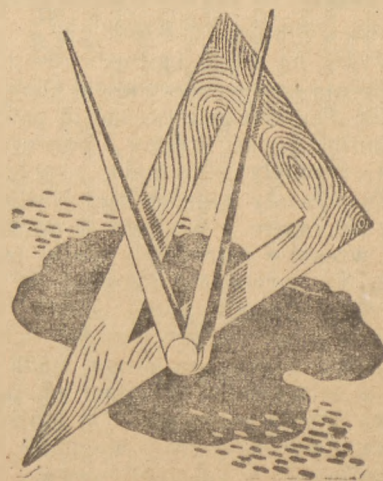
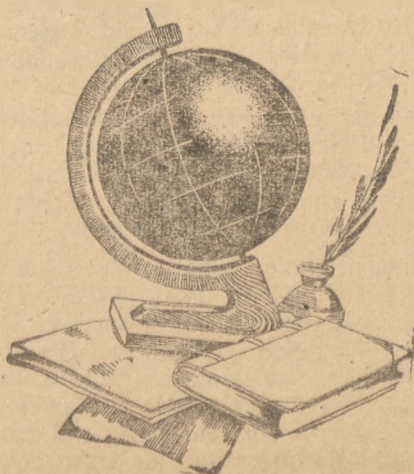
Teraz już nikomu nie przyjdzie do głowy upierać się przy tym, że ziemia stoi a kręci się słońce. Wie o tym każde dziecko ze szkoły i wydaje nam się to zupełnie jasne i zrozumiałe. Ale pomyślcie ile pracy trzeba było, ile uporów i odwagi, aby to odkryć i wbrew panującym pojęciom ogłosić. Uczyony włoski Giordano Bruno, za głoszenie tej samej prawdy został uznany za zbrodniarza i skazany na śmierć przez spalanie na stosie.

Ludziom ówczesnym wydawało się nie tylko trudne do zrozumienia, ale i straszne. Myśleli, że gdy uwierzą w to, ziemia nagle zakolysze się pod ich stopami, zawall się i nastąpi koniec świata.

Samotnie żył i samotnie pracował Mikołaj Kopernik. Tylko nieliczna garstka przyjaciół otaczała go i pomagała w pracy. Inni uważali go za szarlatana.

Dopiero w wiele lat po jego śmierci przyjęto jego naukę za prawdziwą. Kopernik stał się sławny. „O obrotach ciał niebieskich“ studiowali uczeni, teorię jego wykładano na uniwersytetach. I wtedy właśnie nasi zachodni sąsiedzi zaczęli dowodzić, że Kopernik był Niemcem. Nie pomagały dowody takie, że Kopernik urodził się, pracował i umarł na polskiej ziemi, nie pomogło to, że był wrogiem prusactwa i Polskę uważał za swoją ojczyznę. Był wielkim uczyonym i Niemcy chcieli go sobie przywłaszczyć, jak przywłaszczali polskie i ziemie i bogactwa.

Nie udało się to jednak. Dziś już cały świat wie, że ziemia kręci się dookoła swojej osi i dookoła słońca i że odkrył to Polak, profesor Akademii Jagiellońskiej w Krakowie i długoletni biskup warmijski, Mikołaj Kopernik“.





LITUS-Bajduś gadała w szerym polu sę tula — chodzi sobie porankiem, z siwej mgły ma katankę i słomiane chodaki.

Widziały go chłopaki jak z wiatrakiem nad strugą gadał głośno i długo. Jak pod gajem do śmiechu przegadywał się z echem i jak sroce na płocie opowiadał sto pociech.

Dziwowano się wszędy — Trza posłuchać tej gędy — co też gada, co plecie po całukim powiecie?

Czy biadoli, czy prosi, czy też płotki roznosi?

Klitus - Bajduś z bezdroży nieszczęść może namnożyć — Nie wiadomo jak, kiedy a napyta nam biedy!...

Zmówiły się pastuchy raz Klitusia posłuchać.

Rozpalili ognisko — Niech wygada nam wszystko. — Łazi siędy, owędy... Rozpocznemy gawędy, damy sera i bułek — wypyłamy gadałę.

Nisko, nisko ścierniskiem dym się ściela z ogniska. W siność ranka, w mgieł rosę. — Pięty grzeją się bosa i zgrabiałe rączyny.

Ranek siny nos siny.

Dróżką polną, czy miedzą, przez tę wilgoć dokolną szur... szur... kapcie słomiane człapią, kłapią se wolno.

— Ejże, Klitūs! Chodź, gędo!... I tu słuchać się będą... Naści chleba zjedz pajdę. Mów czyś plecuch, czy znajdek? Szukasz czego, czy prosisz? Komu płotki roznosisz? Gdzie się włóczysz? Ktoś taki? Chodź, podjadaj ziemniaki!...



Przysiadł Bajdek w gromadzie — włos rozchwiany przyglądził, lyknął ziemniak gorący. Obejrzał się po łące. Chleba z smalcem zjadł gęsim, aż mu uszy się trzęsły.

W żar zagapił się syty — oczy siwe przy mrużył — I jak gdyby z nut czytał, jął pieść, gadać, bajdurzyć:

— Łażę siędy — owędy... Dziś tu, jutro tam będę... Jak wiatr, obłok, ptak, strumień. — Każdą mowę rozumiem. Byłem, byłem za górami z rycerzami-zbójnikami... Przy okrągłym stole piłem. U Żar - Ptaków w służbie byłem... Wyspę skarbów posiadałem i Niewidkę — czapkę miałem...

— Bój się Boga! Klitūs - Bajdek, toś ty zbójnik a nie znajdek?

— Może zbójnik... plecuch może... Coś przekręcę, coś przetworzę... Coś podsłucham z ćwierkań płasich i dołożę do mych baśni. Z szumów soson, ech, świergotan, słowa srebrną kądziel motam.

Bezdrożami chodzę właśnie i jak gdyby zbieram baśnie. — Często bywa szarym zmierzchem czuby drzew obsiadają wierchem. I dojrzyście, jak na sośnie czarownica z igieł rośnie. Jak królewna czesze loki. Straż trzymają nad nią smoki. Na szumiących koniach z liści orszak jedzie uroczyście.

Ej, wystarczy sięgnąć ręką. — Gęstwy liści dotknąć miękko, a już bajki się dostaną same w rękaw. Pod sukmaną usną ciepło, a z wieczora z zarękawków niby z wora je wytrząśniesz przy kominie. Komin grzeje — bajka płynie...

KRYSTYNA ARTYNIEWICZ

Jesienna bajka

Wygasł ogień i w popiele pękł ostatni kartofelek. Zagapiły się chłopięta. — A to dziwy! Jak spamiętać?

Wypatrują czyli w gruszy jakaś bajka się nie ruszy. Czy z pnia dziuplą nie wyskoczy. Przecierają modre oczy.

Puste miejsce przy ognisku. — Jakby się przysniło wszystko. Klitūs - Bajduś w mgłę wsiąkł kędyś. Jeszcze słyszysz szept gawędy — Jeszcze gną się trawy nisko... Jak by się przysniło wszystko...



A jechała polem, borem sama Jesień z złotym dworem. U kolasy gniade konie. Uprząż w ogniach złotych płonie. To ci pani do wsi jedzie!

Wyszli kumy i sąsiedzi. Wychyliły się jablonie.

— ...Rdzawy płaszcz ma!... Gniade lonnie!

W zdobnych skrzyniach u Jesieni wszystkie suknie są w czerwieni, Wszystkie chusty złoto - rdzawe wiezie Jesień na wyprawę. W rudy warkocz stroi głowę — bućczki ma żółdziove.

A stangrety wiatry - zuchy gnają złotą zawieruchę. Jeden, drugi trzasnął bitem?

— Pożegnajcie się już z latem.

Gwiżdżą baty zamaszycie — Z drzew strącają deszczem liście.

Patrzą z chaty Bronka, Kasia — To królowa mknie w kolasie! — wyskoczyły aż przed wrota.

— Prrr!... — kolasa staje złota. Więc jak stały Kasia, Hania, Bronka — dyg — pięknie się kłania.

Mówi Jesień:

— Jadę światem — Czy tą drogą przeszło lato? Spieszę, spieszę za mym bratem. Po bezdrożach błędząc, jadę — Poczęstujcie mnie obładem.

— Prosim w izbę... Jedz potrochu... Dzień za barszczu — miska grochu. — Zaścielemy lawę chustą — Jeszcze rynkę niesie Hania.

— Dobry będzie groch z kapustą — A tu grzyby są w śmietanie.

Zjadła Jesień — sen ją morzy — Chle-

Przeszło lato

Przeszło lato, minął wrzesień,
powróciła znowu jesień,
poprzez łąki, przez zagony,
rozpostarła mgieł welony;
wyzłociła w lesie drzewa,
ptak wesoło już nie śpiewa,
nad polami nisko wzlata
srebrna nić babiego lata.

Słonko wcześniej spać się kładzie,
pusto w polu, pusto w sadzie...
Świerszcz za piecem się wygrzewa
i o zimie piosnkę śpiewa.

JANINA HANKISOWNA

ny zapach jest w komorze i ziół pączki u obrazów, więc ziewnęła sobie zrazu. Potem wsparła czoło o stół i zdrzemnęła się prosto.

Bronka z Kasią skubią pierze —

— Skądże się ta senność bierze?

Nuda w szarość dzień odziewa. — Raz wraz któraś z dziewcząt ziewa.

A za oknem, jak wieś długa, mży deszcz, lka wiatr — ot szaruga...

Coś skrzypnęło koło płota — coś jęknęło...

To wiatr — słota.

Coś mignęło pod okienkiem...

To wiatr zmaga się z wisienką.

Coś szeleści w kącie sieni. Coś skrzypnęło w mrocznym cieniu — Zapiszczały drzwiczki w sionce — Strach Hanusi, Kasi, Bronce —

— Kto tam? — wyglądają dzieci. —

A Klitūs - Bajdek — plecuch.

— Chodźże gędo, chodźże gędo! I tu słuchać ciebie będą. — Siadaj — Mleka z sadłem wypij — bo już skrzypisz, bo już chrypisz. — Jeszcze miodu... jeszcze ślazu, chrypa przejdzie ci od razu.

Lyknął Klitek mleka kubek, lecz zaskrzypiał tylko grubo. Półkwaterek miodu wypił — coś zaszeptal, coś zachrypiał. Jeszcze potem wypił ślazu i zagadał już od razu.

— Byłem, byłem za górami z rycerzami - zbójnikami!... Przy okrągłym stole piłem. U Żar-Ptaków w służbie byłem. Wyspę skarbów posiadałem i Niewidkę - czapkę miałem...

Słucha Jesień, Bronka, Hania — Razdał w izbie od gadania



Groch łuskają — chrzęści sążeczek. W grochownicie baśni sę płacze — To szeleści w suche liście, to zaśnieje się perłiscie. Ziarnka grochu — perły baśni zmieszają się w koszu właśnie —

...Byłem, byłem w sadzie wróżek...

Czarodziejski kwiat mnie urzekł —

Tam na drzewie modre śliwy —

Kto spóbuje, ten szczęśliwy —

Tam soczyste są czereśnie —

Kto spóbuje — żyje we śnie —

Widzi tylko senne cuda —

Byłem i u wielkoluda...

Mówi Jesień: — Bajduś! Klitek! Jedź ze mną w świat odkryty — W mroczny wiecór, w deszcz i słotę, bajek słuchać mam ochotę. Złoty powóz — konie — gniade — Przy powozie dwór bogaty. Z złotych liści mam dukaty — Jedziesz?

Bajdek na to: — Jadę! Chcę wędrować dalej światem —

Pojechali po wygonie. — Wicher gwizdał, pognął konie —

Gdy przejeżdżał dwór Jesieni, las bukowy się czerwienił — Graby stroją się złościście — Lecą bajki — leca liście —

Gdy dziewczęta zmierzchem smutnym groch łuskają, tkają płótna, nie markotno im jak wprzódy.

Nie ma w izbie sennej nudy — Wiedzą że się w kącie chowa jakaś bajka Klitusia-wa —

To nie szare male świerszcze — Bajka z kąta gada wierszem.

Dwie Izdebki

Myszka ponia, myszka mała,
tak przed kumcią narzekała:
— Opustoszały pola, ogrody.
Dokuczają mi zimna, chłody.
Wczoraj był wiatr, dzisiaj
deszczyk spadł. W norce mam
pełno wody. Muszę się schronić
do gospodarskiej zagrody!...
— Chodź ze mną! Zajrzyjmy do chatki
pracowitej Agatki...



I zajrzały

A tu podłoga równa, nigdzie ani szparki.
Na policy błyszczą garnki.
W kącie czysto, aż się świeci —
ani kurzu, ani śmieci.

Ściany pobielone świeżo, a na łózkach
poduchy jak śnieg bieluskie leżą.

Drzwi do szafki szczelnie zamknięte.

Na okienku kwiaty, a nad nimi firaneczki
ładnie spięte...

— To nie dla nas taka izba! — rzekły myszki
i pobiegły dalej.

Trafiły do Izdebki. A tu przy progu

kupka barłogu.

Podłoga dziurawa, łatana. Pajęczyna na
ścianach.

Szybka w oknie wybita, deseczką zakryta.

Pod ścianą ława koślawa, a przy drzwiach
szafy poderwane zawiasy.

— Tu będzie się nam dobrze żyło... —

rzekły myszki —

Tu będziemy miały dobre czasy!... Tak oto

Izdebki

zajęły dwie nowe lokatorki.

L. WISZNIEWSKI

Jesienna wyprawa

(Dokończenie ze str 1-3j)

— Brrr... ależ plucha.

Nagle las skończył się, jakby nożem u-
ciął. Wyszli na jakąś przerebłą pełną sple-
tanych krzaków jeżyn i malin.

— A może tu są borówki? — spytał Ste-
fan, który był bardzo nie wytrzymały na
głód.

— Borówki? Były, ale dawniej. Może tam
jeszcze jaka pod krzaczkiem się przecho-
wała.

— To może chociaż żurawiny?

— One tu nie rosną. Żurawiny lubią bło-
ta.

W braku innego pożywienia chłopcy
zuli czarne i cierpkie jagódki tarniny, któ-
rej było tu mnóstwo. Języki im tak ścierp-
ły, że mówić nie mogli.

Wreszcie rozległo się szczekanie psa.
Równocześnie zapachniało dymem. Za za-
krętem pokazała się maleńka mchem poro-
śnięta chata. Zupełnie — jak w bajkach.

— Tu mieszkam — powiedział stary. —
Chodźcie, ogrzejcie się trochę, wysuszycie
ubrania a potem pomyślimy, jak was do
domu odstawić. Nie możecie przecież tak
na niechotę iść.

W chacie było tak ciepło i przyjemnie,
że od razu zachciało się spać. Chłopcy na-
wet zdrzemnęli się, nim gospodyni przy-
gotowała obiad. Obiad był doskonały. Ste-
fan nigdy dawniej nie przypuszczał, że
zwyyczajny barszcz może być taki dobry
i że ziemniaki smakują jak najlepsze cia-
stka.

Przyszli zaraz liczni sąsiedzi zobaczyć

niezwykłych gości. Jedni kiwali głowami
z politowaniem.

— Biedaki. Gdzież to się wybrali tak sami.
Inni mówili.

— Dać raz i drugi porządnie w skórę to-
by się odechciało pokusów. Cóż to nie-
mowięta, czy co? Nie mogę się zapytać do
jakiego pociągu wsiadać?

Wiadomość migiem rozeszła się po całej
wsi. Jeden podawał ją drugiemu, każdy
trochę przekreślił, każdy trochę dodał i do
wójta dotarła w postaci, że stary Matus w
lesie znalazł dwóch chłopców obdartych
i ubranych w liście, wygłodniałych i którzy
nawet języka zapomnieli. Wójt właśnie
szedł do gminy, gdy mu tę straszną wiado-
mość przynieśli. Zawrócił z miejsca i po-
szedł do Matusa.

— Może by ich gdzie do szpitala odesłać
— odezwał się od samego progu — wygłod-
nieli to specjalnej opieki wymagają zanim
przyjdą do siebie...

Matus wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

Wieczorem znalazła się furmanka. Na-
jedzonych i wyspanych podróżników od-
wieziono na stację. A jeszcze do tego każ-
dy prezent im jakiś dał. Ten trochę jabłek
suszonych, ten serek małeńki...

Bo to przecież nie co dzień tacy goście
przyjeżdżają.

Dopiero gdy pociąg ruszył Olek odezwał
się:

— U dziadka nie byliśmy, przemokliśmy
i zmarzli, ale przyjemnie było.

— Przyjemnie — odpowiedział Stefan —
ale na przyszłą niedzielę, jeżeli pojedziemy,
to już trzeba będzie uważać na te pociągi,
bo jeszcze do Pekinu zajedziemy.

Olek nie odpowiedział. Spał wtulony w
kął wagonu.

NAGRODY Z KONKURSU „ŚWIATA DZIECI“

W wyniku losowania ksiątki otrzymali:

Andrzejewski Leszek z W-wy książkę pt.
„Rocznik“ Marjorie K. Rawlings.

Bereza Stanisław z Gdańska — „Biały
Kiel“ Londona.

Byrska Józefa ze Szczecina — „Cyrk Dra
Dolittle“, Hugh Lofting.

Chróścielewski Jerzy — „Biały Kiel“ Lon-
dona.

Jabłońska Halina z W-wy — „O czym szu-
mia wierzyby“ Kenneth Grahame.

Kowalski Stanisław z Leszna — „Samoty-
ny biały żagiel“ W. Katajewa.

Kozak Edward z W-wy — „Mój przyja-
cie pan Liki“ B. S. Haldane.

Krawczycki Wiesław z W-wy — „Szczy-
ry morskie“ Jana Papugi.

Mąka Henryk z Piotrkowa Tryb. — „Na
ratunek“ St. Sempołowskiej.

Szanser Maria z W-wy — „Jaskółczyn“
A. Ransome.

Sawicki Andrzej z Poznania — „Roc-
znik“ Marjorie K. Rawlings.

Staniszewska Anna z W-wy — „Mój przy-
jaciół pan Liki“ B. S. Haldane.

Timosiewicz Alina ze Skierniewic — „A-
nielka“ B. Prusa.

Wojtkowski Ryszard z Płocka — „Biały
Kiel“ Londona.

Zgliński Andrzej z W-wy — „Orzeł mor-
ski“ James Aldridge.

Wszystkim dzieciom nagrody zostaną wy-
stłane pocztą.